

Twórczy(nie) u siebie



Twórczy(nie) u siebie

Teksty

Joanna Bator

Jacek Frąś

Marta Frej

Katarzyna Tubylewicz

Ilona Wiśniewska

Korekta

Elżbieta Pękała

Redakcja merytoryczna

Joanna Borowik-Holubowicz

Opracowanie graficzne

Jacek Frąś

E-publikacja „Twórczy(nie) u siebie. Spotkania ze światem” jest zapisem rozmów o Polsce widzianej z perspektywy uczestniczki i emigrantki, o budowaniu tożsamości i podróży w głąb siebie. To także rozważania na temat możliwości, jakie Polska – kraj – daje artystkom/artystom, o wpływie społecznych niepokojów na tworzenie tekstów kultury, o języku oraz sztuce, również tej komiksowej, jako wartościowym komentarzu społecznym. Nasi bohaterowie działają na różnych polach kultury, mają inne doświadczenia i tło życiowe, łączy ich jednak twórcza pasja.

Treści prezentowane w publikacji zostały zarejestrowane w październiku 2021 roku, podczas spotkań jesiennej odsłony Festiwalu Kultur „Okno na Świat”, organizowanego przez Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku.

Wydawca

Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku

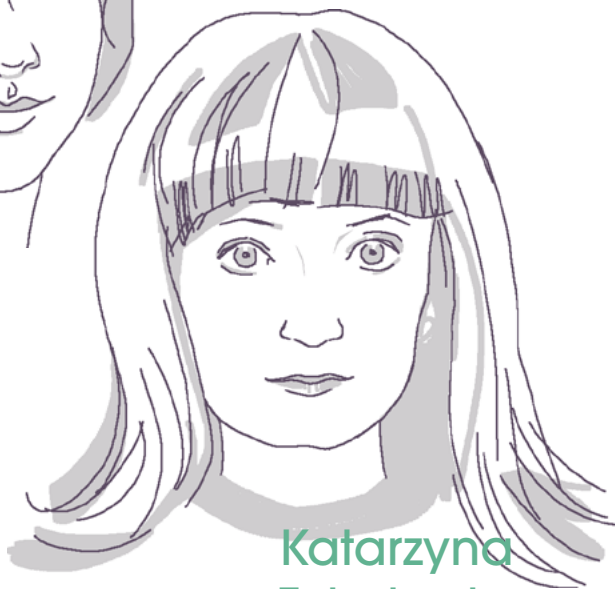
www.nck.org.pl

Uczestnicy debaty:

Ilona Wiśniewska



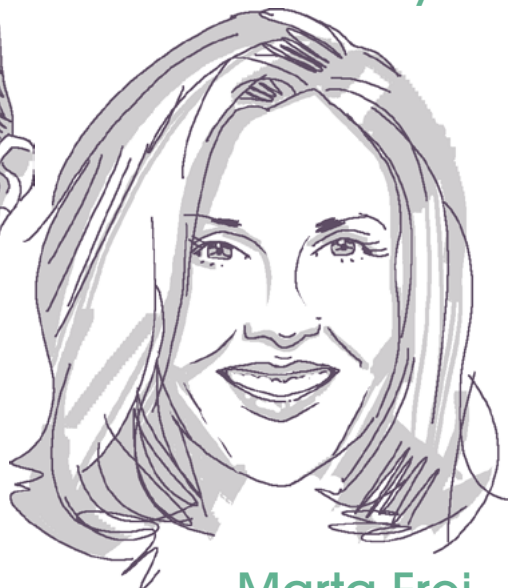
Joanna Bator



Katarzyna
Tubylewicz



Jacek Frąś



Marta Frej

Joanna Bator

pisarka, antropolożka kultury i podróżniczka, laureatka Nagrody Literackiej Nike za powieść „Ciemno, prawie noc” (2012), Nagrody im. Beaty Pawlak, Nagrody Literackiej im. Hermana Hessego, Nagrody Literackiej im. Stefana Heima, Nagrody Literackiej Usdomer, szwajcarskiej Spycher Literaturpreis. Autorka bestsellerów tłumaczonych na wiele języków. Mieszkała przez lata za granicą, m.in. w Japonii, obecnie rezyduje w Podkowie Leśnej.



Jacek Frąś

rysownik i scenarzysta komiksowy, ilustrator, perkusista i edukator plastyczny. Absolwent Wydziału Grafiki i Malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Autor rysunków do „Totalnie Nie Nostalgii” – powieści graficznej do scenariusza Wandy Hagedorn, opowiadającej o dorastaniu bohaterki w czasach PRL-u w Polsce. Mieszka w Lubiewie Gdańskim w gminie Kolbudy.



Marta Frej

polska malarka, ilustratorka i animatorka kulturalna. Artystka, która zdefiniowała nowy gatunek sztuki – memy. Jej memy nie tylko bawią, ale także uczą nowoczesnych, otwartych postaw i satyrycznie piętnują dyskryminujące schematy zachowań. Prezeska zarządu Fundacji Kulturoholizm z siedzibą w Częstochowie. Jest współzałożycielką i koordynatorką Klubu Krytyki Politycznej w Częstochowie. Obecnie mieszka i tworzy w Gdyni.



Katarzyna Tubylewicz

pisarka, kulturoznawczyni i tłumaczka z języka szwedzkiego (przełożyła m.in. cztery powieści Majgull Axelsson i trylogię Jonasa Gardella o AIDS). Autorka powieści „Własne miejsca” i „Rówieśniczek”. W latach 2006–12 była dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Była też dyrektorką programową pierwszej edycji festiwalu „Odnalezione w Tłumaczeniu. Gdańskie Spotkania Tłumaczy”. Jest stałą felietonistką „Krytyki Politycznej”, współpracuje z „Gazetą Wyborczą”, prowadzi zajęcia na temat kultury polskiej na Uniwersytecie Sztokholmskim. Mieszka w Sztokholmie.

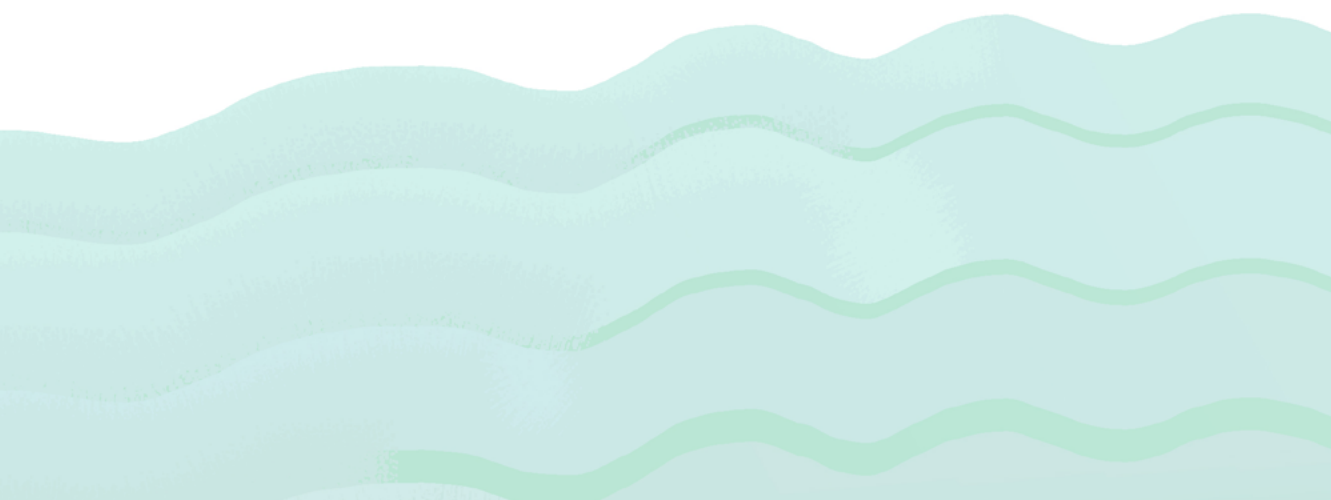


Ilona Wiśniewska

reporterka i fotografka, współpracuje z „Dwutygodnikiem”, „Polityką” i „Dużym Formatem”. Autorka książek „Białe. Zimna wyspa Spitsbergen”, „Hen. Na północy Norwegii” oraz „Lud. Z grenlandzkiej wyspy”. Była nominowana do Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej, tytułu Kobiety Roku 2015 w plebiscycie portalu wp.pl oraz Nagrody im. Beaty Pawlak. Za książkę „Hen” otrzymała nagrodę w konkursie Travelery, a za „Lud” Kryształową Kartę Polskiego Reportażu – Nagrodę Prezydenta Lublina oraz nominację do nagrody MediaTory w kategorii ObserwaTOR i do Nagrody im. Beaty Pawlak. Jest również laureatką Złotej Sowy – nagrody Klubu Inteligencji Polskiej w Wiedniu, przyznawanej twórcom propagującym polską kulturę za granicą. Mieszka w północnej Norwegii.



Bycie
u siebie,
bycie
ze sobą





Ilona Wiśniewska

„Bycie u siebie” – to poczucie sprawia, że jeżeli czujemy, że nas nie ma w jakimś miejscu, to zaczynamy za nim tęsknić. Przez to, że już od wielu, od dwunastu lat mieszkam w różnych miejscach, a one wszystkie są na Północy, nauczyłam się dostosowywać do tego, gdzie jestem i szybko się dopasowywać. Nie używam zwykle kategorii „bycia u siebie”, dlatego że ja wszędzie potrafię poczuć się jak u siebie. Tym „u siebie” dla mnie, przez to, że jestem w ciągłym ruchu, są ludzie. To są też takie momenty, w których jestem z moimi najbliższymi osobami i takie chwile, kiedy czuję, że właśnie na tej ławce, gdzie siedzę, przy tym widoku, jestem bezpieczna. To jest chyba poczucie bezpieczeństwa, a nie jedno konkretne miejsce, bo nie może być. Gdybym cały czas myślała o tym, że „u siebie” znaczy Norwegia, czy o tym, że „u siebie” jest Polska, to zawsze będzie to z jakąś niekorzyścią dla drugiego miejsca. Po prostu, jak już się wybrało życie w ruchu i w taki sposób – nie odcinając poprzedniego kraju, z którego się wyjechało – to chyba właśnie trzeba się skupiać na tych momentach, w których jest po prostu dobrze. Lubię myśleć, że tak jak różne są miejsca, to i różni są

też ludzie. Ja zawsze czuję się u siebie. Kiedy jestem z Birgerem, czyli z moim mężem, czuję się u siebie. Kiedy jestem z moją siostrą, która jest najważniejszą dla mnie osobą, jak jestem z moją przyjaciółką – to są momenty, sytuacje, w których czuję się absolutnie swobodnie. Ale, takie jest chyba też doświadczenie wszystkich, którzy przyjeżdżają na Północ, mimo tego, że dobrze znamy język i mówimy w nim płynnie, niektórych kodów nadal nie będziemy rozumieć, nie będziemy czuć się zupełnie swobodnie w rozmowach, nie będziemy mieć tego historycznego zaplecza, żeby móc odwoływać się do wielu rzeczy, które się wydarzyły w tym kraju.



Katarzyna Tubylewicz

Dla mnie „bycie u siebie” to tak naprawdę przede wszystkim „bycie w sobie”, w kontakcie ze sobą. To znaczy: im jestem dojrzała, im lepiej rozumiem siebie i to, co wokół, tym silniejsza jest moja świadomość i akceptacja faktu, że istotą naszego bytu jest ciągła zmiana, a także to, że ciągle tracimy coś, do czego jesteśmy przywiązani. Właściwie wszystkie wschodnie filozofie to podkreślają. Ja sama przez fakt, że od lat praktykuję jogę, w jakiś sposób uczę się tego w praktyce, na macie. Moim zdaniem bycie „u siebie” czy bycie „w sobie” to nawet nie stan, ale takie momenty w życiu, kiedy człowiek czuje, że robi to, do czego czuje się stworzony czy powołany. Uważam, że bardzo ważne jest poczucie, że się rozwijam. I że mam też jakiś rodzaj wolności wybierania nowych dróg. Często jest tak, że ludzie w sposób naturalny cieszą się sporą dozą wolności we wczesnej młodości, a później, kiedy mają już stałą pracę, stałe związki, rodziny, mają też coraz silniejsze poczucie, że ich zakres wolności wyboru bardzo się zmniejsza. Uważam, że tak naprawdę jest to czasem tylko lenistwo lub wygodnictwo, że zawsze mamy bardzo dużo możliwości wybierania

nowych dróg. Niekiedy wymaga to dużej wewnętrznej odwagi i zawsze – umiejętności przyglądania się sobie samej (czy sobie samemu) i swoim potrzebom. Na pewno i dla mnie poczucie, że jestem we właściwym miejscu, o którym mówiła Ilona Wiśniewska ma związek z ludźmi. Oczywiście, są w moim życiu ludzie, którzy sprawiają, że czuję się jak w domu, ale bardzo ważna jest też świadomość, że jestem na tej właśnie ścieżce, na której w tej chwili chcę się znajdować. Pamiętam na przykład wszystkie momenty w moim życiu, kiedy zajmowałam się zawodowo czymś innym niż pisanie i tłumaczenie. W dodatku zajmowałam się tak intensywnie, na przykład w czasach, gdy byłam dyplomatką, że nie miałam już czasu na pisanie. To były bardzo ciekawe okresy, ale towarzyszył im jakiś rodzaj wewnętrznej alienacji, czy może wrażenie zdrady względem siebie samej, jakiegoś „niebycia” w swojej skórze. A w chwilach, kiedy piszę nadal mam wiele różnych „ale” dotyczących rozwoju mojej kariery, ale jednak czuję, że jestem sobą i idę w kierunku, w którym chcę iść. Myślę, że bardzo wielu ludzi właśnie to chce czuć przede wszystkim, to na tym polega bycie na miejscu, bycie w domu. Wcale nie na życiu w mieście, w którym człowiek się urodził, czy w kraju, w którym się wychował, bo te rzeczy mogą się zmieniać, zwłaszcza w dzisiejszym świecie, który jest tak otwarty, przynajmniej dla nas, uprzywilejowanych Europejczyków. Możemy dosyć swobodnie zmieniać miejsca, nie tracąc przy tym poczucia równowagi i harmonii.



Marta Frej

Urodziłam się w Częstochowie. Mieszkłam tam przez lata, potem mieszkłam w wielu innych miastach. Na chwilę wróciłam do Częstochowy, a teraz spełniłam marzenie swojego życia – o mieszkaniu nad morzem. Rok temu przeprowadziłam się do Gdyni. Teraz jestem gdynianką. Próbuję, z powodzeniem zresztą, zadowolić się tam. Chyba do tej pory żadnego miejsca, w którym mieszkłam, nie traktuję jako ostatecznego. Mam nadzieję, że jestem zewsząd i znikąd. To, że mogę mieszkać wszędzie, daje mi jakiś spokój duszy. Zasadniczo chyba zawsze czuję się u siebie, w tym sensie, że mam silną, burzliwą relację z samą sobą. Jest bardzo angażująca i trudna, gdziekolwiek jestem. Sama sobie wizualizuję i widzę świat w taki sposób. To nie inne, to jest moje postrzeganie. Dlatego myślę, że cały czas jestem u siebie. Co nie oznacza, że jest super, co nie oznacza, że jest lekko, że jest fajnie i miło cały czas. Wręcz przeciwnie, z wiekiem moja droga do samopoznania, samoświadomości i do szczęścia polega na zrozumieniu, że muszę akceptować właśnie te złe momenty. Może raczej „słabe”, nie wiem czy „złe” to jest dobre określenie. Myślę o tych nie wymarzo-

nych, nie łatwych, nie przyjemnych. To znaczy dla mnie bycie u siebie i bycie sobą z wiekiem coraz bardziej polega na akceptowaniu bólu, cierpienia, śmierci, która nadejdzie, i to jest ta droga, ten kierunek, w którym zmierzam. Może nie brzmi to fajnie, ale to teraz jestem ja, i to są moje aktualne myśli... Czyli w sumie możemy powiedzieć, że istotniejsze jest nie – bycie u siebie, ale bycie ze sobą, prawda? Tak, ze sobą śmiertelną, niedoskonałą, bardzo błędzącą, popełniającą dużo błędów. Taką naprawdę. Jakby robić jakiś bilans... to może lepiej go po prostu nie robić. Być świadomą i niezależną – o, tak.

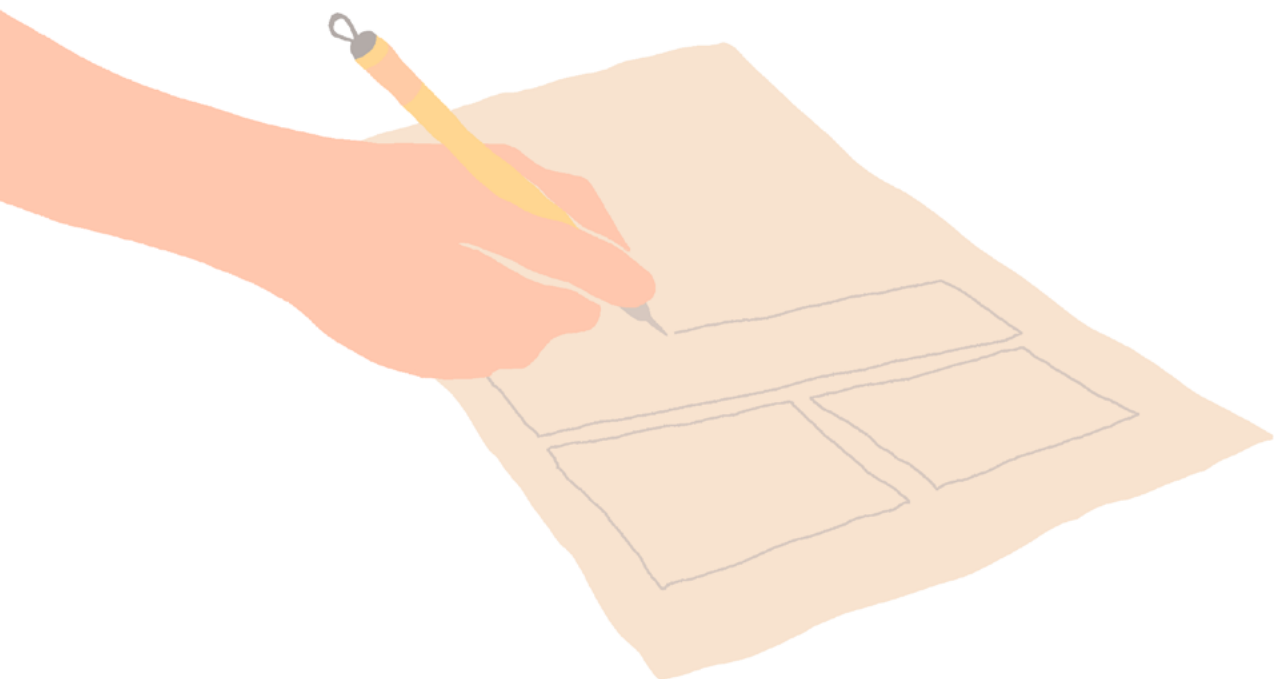
Joanna Bator



Całe życie towarzyszy mi poczucie obcości. To najbardziej pierwotne, najwcześniejsze wrażenie bycia w świecie, wśród innych. Dlatego mogę mieszkać właściwie wszędzie, nigdzie nie czując się ani do końca u siebie, ani do końca obco. Z tego niezakorzenienia i niemożności przywiązania się nauczyłam się czerpać siłę i inspirację. Tak spędziłam ponad dwadzieścia lat dorosłego życia. Od matury byłam nomadką, przemieszczałam się, mieszkalam w różnych krajach, zawsze na walizkach. Długo wydawało mi się, że może tak zostać. Chwilowe domy, chwilowe gniazda wite w kolejnych miejscach. W pewnym momencie pojawiło się inne pragnienie – stworzyć jakieś miejsce od podstaw. Chodziło mi nie tyle o to, by osiąść gdzieś na zawsze i już się nie ruszać, ale by zbudować dom. W tym samym czasie dojrzała we mnie decyzja związana z powrotem do Polski. Od kiedy zaczęłam pisać prozę, potrzeba bliskości literackiej matczyzny stała się oczywista i dojmująca. Polski język, swoisty rodzaj więzi z ludźmi oparty na wspólnym dziedzictwie stał się bardziej twórczy i potrzebny niż kiedy zajmowałam się nauką. I tak po ćwierćwieczu włóczenia się po świecie wylądowałam w podwarszawskiej miejscowości, w lesie. Dobrze jest więc sobie gniazdo na dłużej, kiedy jest się już osobą dorosłą i ma się doświadczenia życia w dziesiątkach mieszkań i domów, w kilku krajach, a także w wielu wersjach siebie. Wiedziałam dokładnie, czego potrzebuję na

tym etapie życia. Bliskości natury, zapachu lasu, dużego ogrodu i mnóstwa zwierząt, słonecznego światła, jasności. Ale też oddechu wielkiego miasta niedaleko i bliskości międzynarodowego lotniska. Miałam bazę w Warszawie, więc krążyliśmy wokół stolicy, szukając idealnego kawałka ziemi lub domu. Trwało to dwa lata. Zdecydował przypadek. Może przeznaczenie. Jechaliśmy kolejką do Milanówka na spotkanie z agentką nieruchomości. Po drodze była Podkowa Leśna. Trwała akurat coroczna impreza biegowa, Podkowińska Dycha. Zobaczyliśmy w wiosennym słońcu tłumy ludzi, którzy w strojach biegowych snuli się po ulicach. Wysiedliśmy spontanicznie. Tego samego dnia znaleźliśmy mały i niepiękny domek w pięknym starym ogrodzie, z różą pnącą się po płocie, wiśniowym sadem. Rozebraliśmy „mazowieckiego grzybka” ręcznie, by nie zniszczyć żadnej rośliny, a na jego miejscu powstała modernistyczna przeszklona kostka z pięknym murałem z ptakiem nakręcaczem. Traktowałam to jako rodzaj wyzwania artystycznego – stworzyć coś z niczego. Z materii innej niż słowa. Budowa sprawiła mi mnóstwo satysfakcji, obudziła apetyt na dalsze budowanie. Ale na razie po prostu spodobало mi się tużysze życie, jego półwiejski rytm. Nowi przyjaciele za płotem. A więc jakiś czas tu zostanę.

Praca twórcza i inspiracje



Jacek Frąś



Techniczna praca niczym się nie różni od pracy nad innymi rzeczami, czyli po prostu – musisz usiąść i zaplanować punkt po punkcie i, idąc jakimś utartym, schematycznym procesem, który każdy artysta i każda artystka wytwarzają sobie sami, mozolnie posuwać się strona po stronie. Każda strona składa się z kilku etapów: planowania, szkicowania, umieszczania tekstu, kolorowania i tak dalej. Prowadząc coraz więcej zajęć z różnymi ludźmi zastanawiam się, jak przekazać im wiedzę na temat komiksu. Nasuwa mi się analogia z poezją, z wierszem, ponieważ uważam, że rysunek w komiksie pełni taką rolę, jak słowo w poezji. Teoretycznie słowa są zawsze te same, podobnie jest z elementami rysunku w komiksie. Natomiast każdy poeta czy każda poetka jest w stanie zbudować swój własny język z tych samych słów. Mam pewne skrzywienie w kierunku filmu. Lubię sobie wyobrażać sceny, tak jak gdybyśmy byli na planie filmowym – czyli jeżeli jakieś przedmioty z pewnego punktu widzenia leżą konkretnie na swoich miejscach, to jeżeli zmienimy ujęcie, one powinny być wciąż w tych samych miejscach. Dla mnie takie rzeczy są ważne. Takie szczegóły są ważne – przeniesienie się w ten świat tak bardzo, jak to tylko możliwe, żeby wszystkie detale się zgadzały.



Joanna Bator

Przy pracy jestem trochę mniszką buddyjską. Nie jem niczego przy stole do pisania, nie bałaganuję. Piję zieloną herbatę, nigdy nie pojawia się alkohol. Czasem idę do łazienki, by wciągnąć z blatu niuch tabaki, takie nowe przyzwyczajenie, które bardzo mi się podoba jako rytuał. Potrzebuję porządku. Jestem osobą dotkniętą wysoką wrażliwością, czyli w każdej chwili odbieram o wiele więcej bodźców niż osoba pozbawiona tej kłopotliwej cechy. Potrzebuję więc porządku, harmonii i ciszy. Pracuję przy wielkim stole, na którym prawie nic nie ma. Naprzeciwko mam przeszkloną ścianę, którą mogę otworzyć na ogród. Nie robię notatek, nie mam gotowego schematu powieści rozrysowanego w zeszycie. Wszystko jest w mojej głowie. Potrzebuję tylko tego stołu, herbaty, dobrego światła dziennego. Nie mam żadnych dziwactw ani przyzwyczajzeń, które byłyby ciekawe dla czytelników zainteresowanych codziennością pisarki. Komputer, widok na ogród i mózół. Często towarzyszą mi koty i pies, ich oddechy, zapach, to jest najpiękniejsze i kojące. Wbrew powtarzanej plotce nie piszę w kimonie, ale też nie w dresie.

Każdy twórca czerpie inspirację ze swojego, szeroko rozumianego, doświadczenia, wszystkiego, co przeżyte i może, ale nie musi chodzić o autobiografię w sensie ścisłym. Zapach, który odczuwałam 20 lat temu w pewien wieczór w Kioto może stać się nagle inspiracją przy tworzeniu postaci, która żyje na placu Górnik. Moja własna niezgoda, gniew mogą stworzyć postać, żywiącą te uczucia w innym miejscu i czasie historycznym, jak Berta z „Gorzko, gorzko”. Czyjeś ucho, czy bardziej intymna część ciała może stać się po latach inspiracją dla stworzenia postaci zupełnie innej niż właściciel tego ucha lub nie ucha. Wszystko się może przydać. Kształt czyjegoś pępka. Smak czyjegoś ciała. Pościel w hotelu. Pogłaskany przy drodze do Krakowa pies. Wszystko. Specyfiką mojego procesu twórczego jest tkanie z tego, czego dotknęłam, posmakowałam, powąchałam. Kiedy piszę, przebywam w tak osobnej przestrzeni, że świat zewnętrzny nie ma na mnie wielkiego wpływu, ale oczywiście on tam jest i nie jest mi obojętny. Moje najbardziej autentyczne zaangażowanie polityczne dochodzi do głosu za pośrednictwem literatury. Moje opowieści wyrażają najlepiej gniew, niezgodę, wściekłość, którą czuję. To jest najsilniejszy język jakim władam. Nie mam osobowości aktywistki, za dużo we mnie nihilizmu, rozczarowania do ludzkości w ogóle. Z pewnym niedowierzaniem jak to możliwe podziwiam twórców, którzy potrafią na bieżąco komentować wydarzenia jak dziennikarze. Ja kochać, nienawidzić i wierzyć w zmianę potrafię tylko pisząc fikcję.



Katarzyna Tubylewicz

Myślę, że reportaż jest w jakimś stopniu uciekaniem od emocji. To znaczy – emocje zdecydowanie mają się rodzić, ale w czytelniku, nie powinny kierować autorem, bo odbierają obiektywizm. Wydaje mi się, że jeśli chce się pokazać głęboką prawdę o ludziach, to należy uważnie przyglądać się różnym wymiarom ich życia bez subiektywnych ocen, bez nadmiaru chwytów literackich. Dawać mówić bohaterom. Bardzo często zostawiam w moich reportażach tylko wywiad, bo to jest najbardziej obiektywna forma reporterska, co udowodniła genialnie Swietłana Aleksijewicz. W rozmowie niczego się nie dodaje i nie narzuca. A ja prostu rozmawiam z ludźmi, którzy wydają mi się niezwykle interesujący i umiem z nich wydobywać prawdy, o których być może nie opowiedzieliby komuś innemu. Po to, by dać im przestrzeń – uważam, że w reportażu nie powinno być takich emocji autora, które zabarwiałyby i zniekształcały świat osób, o których pisze. Wydaje mi się, że dobrym punktem do tego, by zacząć pisać reportaż, jest ciekawość. Należy chcieć zrozumieć rzeczywistość i zajrzeć pod jej podszewkę.



Ilona Wiśniewska

Pisanie wyklucza emocje. Kiedy siadam do pisania – jeżeli mam temat, który też być może jest trudny, który musiałam najpierw przeżyć, a potem przerobić – muszę mieć w głowie kompletny spokój. Muszę wstawać rano, mieć dzień przewidywalny. Nie może się wydarzyć nic, co mnie będzie z tej równowagi wyprowadzało. Uważam, że zarówno pisanie reporterskie, pisanie książek, jak i pisanie publicystyczne – w ogóle dziennikarstwo, którym też się zajmuję – łączy się z wymogiem maksymalnego obiektywizmu i maksymalnej uczciwości.



Marta Frej

Jestem ilustratorką, która rysuje dla gazety. Odkąd pojawiła się pandemia, zrobiłam wiele rysunków ilustrujących teksty na ten temat. Jeżeli chodzi o moją twórczość, wtedy to było najmocniejsze. Miałam dość, szczerze. Natomiast jeżeli chodzi o mój tryb pracy, to izolacja nie zmieniła nic. Jestem samotniczką. Pracę wykonuję sama, rysuję sama i poświęcam na to wiele godzin dziennie. Jeżeli chodzi o tryb życia i pracy, nie odczułam pandemii. Głównie spędzałam i spędzam czas w odosobnieniu, rysując. Na pewno mnie przygnębiła, przestraszyła, tak samo pewnie jak wszystkich. A czy to widać w twórczości? Tego nie wiem, może trochę tak, ale tu jestem jednak nieobiektywna. Na pewno nie robię już tylu śmiesznych memów co kiedyś. Nie wiem, czy jeszcze jakiś zrobię? Chyba już nie...

Wyjazd i pozostanie a przestrzeń twórcza



Marta Frej



Życie w Polsce jest trudnym zadaniem przy kreowaniu przestrzeni twórczej. Zdecydowałam się zostać. To pokazuje – myślę, że wielu ludzi ma teraz takie postrzeganie – że decydujemy się zostać, mimo że jest naprawdę niefajnie, naprawdę trudno, a my zostajemy. Nawet nie wiem, czy to u mnie była przemyślana, świadoma decyzja. Ja tylko nie wyobrażam sobie siebie poza Polską. To się wiąże z naszą niedoskonałością, z bólem i cierpieniem. Czuję się bardzo zakorzeniona w tym polskim uwielbieniu cierpienia, polskiego bólu. Mam dużo takich cech, które postrzegam jako złe polskie cechy. Są też i dobre, ale ja jestem skupiona na sobie, nieodporna na krytykę, skłonna do wielkich czynów i do działania bez kompletnego sensu, więc czuję się bardzo Polką. Nie wiem, czy to przez moją lekko histeryczną naturę, do której przywykłam, która jest po prostu moją częścią. Czy odnalazłabym się w jakimś innym kraju? Nie wiem, nawet się nad tym nie zastanawiałam. Nie myślałam nigdy o wyjeździe z Polski. Jestem też bardzo mocno związana z językiem. Nie w takim sensie, że jest super, że kocham ten język. Chodzi o to, że mam problem, żeby wyrazić siebie i swoje myśli po polsku, a co dopiero gdybym miała to robić w innym języku. Naprawdę mam z tym problem, bo często brakuje mi tego języka. Często nie umiem nazwać tego, co czuję, pewnie dlatego zajmuję się głównie obrazem.



Katarzyna Tubylewicz

Ilona Wiśniewska bardzo ciekawie opowiadała o tym, że zawsze umiała pisać, ale nie miała tematu, a wyjazd spowodował, że ten temat zyskała. Myślę, że ze mną było podobnie. Pierwszą książkę napisałam już w Szwecji, chociaż niby coś pisałam przez całe życie (bardzo wcześnie wiedziałam, że tego chcę). Jednak w Polsce to były jakieś recenzje, wiersze, pamiętniki, różne teksty na różnych etapach życia, ale nigdy na poważnie, nigdy z przekonaniem, że pisanie może być moim zawodem. Wydaje mi się, że był w tym element jakiejś mojej własnej niedojrzałości, ale też wyraz szerszej prawdy, że kobiety generalnie często mają problem z tym, by poważnie traktować siebie jako twórczynie. Więcej czasu nam zajmuje, by znaleźć taki szacunek dla własnej twórczości, jaki, mam wrażenie, automatycznie mają mężczyźni. To się oczywiście zmienia, na szczęście się zmienia, ale jednak dostrzegam ten proces, jakąś nadal istniejącą tu różnicę płci. Ze mną było rzeczywiście tak, że wyjazd stworzył mi przestrzeń dla pisanja. A także konieczność opowiadania o doświadczeniu bycia poza Polską w kraju tak skrajnie od Polski różnym.

Szwecja stała się dla mnie ogromnym tematem. Ale wyjechałam nie po to, by zacząć tworzyć, ani też nie po to, by na co dzień wykorzystywać fakt, że jestem z wykształcenia kulturoznawczynią. Tak się ułożyło moje życie i po pierwszym etapie imigranckich tęsknot, zaczęłam po prostu odkrywać, jak wspaniałą rzeczą jest życie pomiędzy kulturami. Ale przeżyłam też to, o czym mówiła bardzo ciekawie Ilona Wiśniewska – samotność bycia w kraju, którego języka się nie zna. I to, co powiedziała Marta Frej – niemożność wyrażania siebie w nowym języku. Czasami rzeczywiście jest to trudne także po polsku, ale myślę, że jednak w języku polskim potrafię w pełni oddać to, co myślę. Natomiast szwedzki bardzo długo był dla mnie językiem, który nie pozwalał na pełną swobodę, na bycie w pełni sobą. Dodam, że to też się zmieniło. Dzisiaj czuję się sobą po szwedzku, aczkolwiek jestem trochę inna w tym języku niż po polsku. To też jest ciekawe, bo nagle ma się więcej osobowości. Bardzo twórcze. Myślę, że podróże pomagają w tworzeniu, ale nie są do tego tworzenia konieczne. Były jednak takie postaci jak Emily Dickinson, która siedziała całe życie w jednym pokoju, miała wręcz lekko autystyczne cechy, a jednocześnie w swojej poezji opowiadała najbardziej uniwersalne historie. Myślę więc, że dla wolności tworzenia przestrzeń może być odnaleziona w jednym kraju, z którego się nie wyjeżdża, w małym pokoju, z którego się nie wychodzi. Ale genialnie jest też, jeżeli tę przestrzeń znajduje się właśnie w podróży. Teraz gdy nareszcie kończy się pandemia znowu

dużo podróżuję po przerwie i przyjeżdżam na przykład tutaj, do Gdańska. Ja to uwielbiam, ale jednocześnie kiedy podróżuję jest mi trudniej znaleźć odpowiedni rytm w pisaniu. Także warto dodać, że bycie wolną w przestrzeni i ruchu czasem też utrudnia tworzenie, bo pisanie książek to jest też zajęcie wymagające dyscypliny i rutyny. Powiedziałabym nawet, że pisanie książki wymaga na pewien czas jakiejś nudy, którą można wypełnić tym, że się siada przed komputerem i się pisze. Podróże dodają skrzydeł, ale ich nadmiar może wręcz utrudniać tworzenie.



Ilona Wiśniewska

Po wyjeździe na Północ miałam przede wszystkim mnóstwo przestrzeni i musiałam się jakoś w niej odnaleźć. Wyjechałam z Wrocławia, gdzie miałam nieciekawą pracę i bardzo mało przestrzeni na zebranie myśli, na oddech. Więc to była reakcja mojego organizmu, który mnie wysłał na Północ i powiedział po prostu: pojedź tam i zastanów się, co masz dalej robić w życiu. Wtedy w ogóle nie myślałam o pisaniu, musiałam przecież ułożyć sobie życie na nowo. Miałam 28 lat, właśnie rozstałam się z pierwszym mężem i to był moment graniczny, w którym mogłam albo pójść dalej, albo zostać w jakimś miejscu, które nie było moje. Ta Północ, zawsze się śmieję, że to jednak ona mnie wybrała, a nie ja ją. To był splot wydarzeń, który sprawił, że jestem tam od 12 lat. Jak przeprowadziłam się na Spitsbergen, czyli na tę wyspę na północy kuli ziemskiej, gdzie mieszkało 2000 osób, ta samotność, o której mówiła Kasia, była dla mnie motorem do tego, żeby zacząć pisać. Mój jeszcze wtedy nie mąż, ale partner, który jest pisarzem, powiedział: pisz dziennik. Po prostu pisz, co się dzieje w tym życiu, żebyś nie zapomniała czego doświadczasz, bo zobaczysz,

jak to się później zmieni. On pisze te swoje dzienniki od lat, więc i ja to wtedy robiłam. A potem okazało się, że jednak nie jest dla mnie aż tak istotne, co ja przeżywam, zaczęłam za to wychodzić do ludzi, bo już zaczynałam rozmawiać po norwesku. Dostałam pierwszą pracę i zaczęli mnie interesować ludzie. Wtedy okazało się, że to jest temat, który mnie inspirowuje. Chyba najbardziej właśnie spotkanie ludzi, konfrontowanie siebie w spotkaniach z nimi, bo tam byli ludzie z całego świata. Znałam wcześniej Wrocław i tylko Wrocław. Oczywiście to też jest wielonarodowe miasto, jakkolwiek nie tak otwarte jak Spitsbergen. A tam skonfrontowałam się z moimi uprzedzeniami, których – wydawało się – nie miałam, ale one były. To się nagle objawiło w nowym języku: nie można się było wyrazić. Uważam co prawda, że niemożność wyrażenia się do końca w jakimś języku też wiele rzeczy ułatwia. Wtedy nie wchodzi się w jakieś niepotrzebne dyskusje. Można lepiej sprecyzować/wyartykułować myśli. Często miałam tak z Norwegami. Norweg powiedziałby jakąś rzecz w bardziej zawoalowany sposób, bo miałby słowa ku temu. Ja miałam tylko proste słowa i dzięki temu mój komunikat odnosił większy sukces. Wyrażałam się wprost, w taki sposób, w jaki umiałam, ale oczywiście nie było to pełne wyrażenie myśli. Tymczasem pisanie stwarzało ramy do tego, żeby się wypowiadać we własnym języku, żeby ten język był piękny, żeby te zdania były takie, jakimi chciało by się mówić w obcym języku. Ale nie można było tego zrobić tak szybko, bo nauka języka też zabiera czas,

więc w jakiś sposób pisanie było dla mnie ratunkiem i sposobem na opisywanie tego, co przeżywam. Bo Spitsbergen jest jednak inną planetą. To jest miejsce, w którym wszystko jest inaczej. Poza ludźmi właśnie. Opisywanie ludzi było więc w pewien sposób oswajaniem tej rzeczywistości. Zmieniło moje życie, ale też poukładało mi to, czego doświadczałam. Dzięki temu lepiej zrozumiałam Północ.



Katarzyna Tubylewicz

Wydaje mi się, że to, co się dzieje, kiedy zmienia się miejsce i kulturę, w której się żyje to zmiana perspektywy. Po jakimś czasie życia w nowym kraju człowiek rozumie, że dostał nową parę oczu. Kiedy do tego dojdzie zaczyna się zupełnie inaczej postrzegać tę kulturę, z której się wywodzi i siebie samego. Jesteśmy zaprogramowani przez to, w jakim kraju wyrośliśmy, zmiana kraju pozwala na oddzielenie tego, co nam narzuciła tradycja i nasz kraj ojczysty od tego, kim jesteśmy my, jako my. Inaczej też zaczyna się czuć język, w którym się pisze. Zdarza się, że lepiej. Świetnym tego przykładem był Gombrowicz.

Język





Marta Frej

Słowa pojawiają się w części tego, co robię, czyli w memach – obrazkach, z których jestem najbardziej znana. Zaczynałam jako malarka. Powoli marzę o tym, żeby do malarstwa wrócić. W tej chwili głównie zajmuje się ilustracją do gazet, gdzie nie ma słów. Ilustruję cudze słowa, cudze artykuły, co bardzo dobrze mi robi. W memach, czyli w moich obrazkach ze zdaniami, ze słowami, najważniejsze rzeczywiście są słowa. Zawsze mówię, że najważniejsze jest zdanie – jedno, najwyżej dwa, bo to musi być krótkie. Najwięcej pracy zajmuje mi ich stworzenie. Skrócenie myśli do jak najbardziej zwartej formy. Rysunek jest już tylko czymś w rodzaju papierka do cukierka: ma być kolorowy, zwrócić uwagę, przyciągnąć wzrok. I to rzeczywiście jest dla mnie zabawa słowami, którą lubię, w której nie czuję się zbyt mocna, ale mimo to bardzo ją lubię i bardzo mnie uwodzi. Choć zawsze będę uważała, że jestem lepsza „w obrazki” niż „w słowa”. Popularność memów (nie tylko moich, ale pewnie w ogóle wszelkich), podobnie jak popularność aforyzmów, powiedzonek, przysłów, bierze się stąd, że krótka treść jest na tyle otwarta, że każdy może

stworzyć swoją interpretację i wlać w tę treść swoje rozumienie. Ponieważ mam okazję dowiadywać się, jaką percepcję mają moje memy, przekonałam się, że często są rozumiane zupełnie inaczej niż w mojej intencji. Dzięki temu doświadczeniu przekonałam się, jak różnie rozumiemy ten sam język, jak różnie możemy go odbierać. Różne treści możemy odnajdować poprzez własne doświadczenie, poprzez własne oczekiwania. Dlatego mam trudną relację z językiem, choć bardzo mnie urzeka. Uwielbiam go, ale jednocześnie – im krótszy przekaz, tym więcej interpretacji i tym więcej niedopowiedzeń i zdziwień.



Katarzyna Tubylewicz

Ja na pewno inaczej piszę po polsku – właśnie dlatego, że bardzo dużo czasu spędzam w innym języku. Nie chodzi o to, że używam jakichś kalek językowych, czy że ten polski w jakiś sposób jest zanieczyszczony przez szwedzki czy wymieniony w swojej konstrukcji gramatycznej. Myślę, że on w jakiś sposób jest bardziej świadomy i, być może często, celowo właśnie prosty. Mam taką ideę, aby pisać o rzeczach bardzo skomplikowanych, ale w sposób bardzo przystępny. Nie ulegam temu, czemu ulega bardzo wielu polskich pisarzy, czyli budowie prozy czy reportażu przede wszystkim w języku.

Polska jest w dużej mierze krajem poezji i takiego „zaczadzenia” pięknem języka, zachwytem, że polski jest językiem pełnym anarchii, jeżeli chodzi na przykład o składnię i że można się nim bawić i tworzyć. Jest bardzo wiele różnych ozdobników w języku, które rzeczywiście wspaniale wychodzą w poezji. To dlatego na przykład poezja Leśmiana jest tak genialna i tak niemożliwa do przetłumaczenia na jakikolwiek inny język. Ale ja uważam, że akurat w prozie i w reportażu czasami ta malowniczość języka i to ogromne sku-

pienie na języku powoduje, że ucieka treść, ucieka głębia i że czasami też zetraca się obraz. To według mnie jest ważne, bo jednak staram się pisać po to, by komunikować się ze światem. I by opowiadać temu światu coś, co mnie wydaje się ważne, czy coś, co widzę – także dzięki temu, że mieszkam między dwoma krajami. Powiedziałam wcześniej, że moim tematem jest Szwecja, ale tak naprawdę moim tematem też – w dużej mierze, jak tematem wielu polskich pisarzy – jest Polska. Tylko że ja opowiadam częściowo o Polsce, przeglądając ją w lustrze szwedzkim. W tym sensie wydaje mi się, że przeprowadzka rodzi nową przestrzeń w głowie i stwarza zupełnie nowe wymiary, możliwości pisania, opowiadania o świecie. Choć jednocześnie na pewno też coś się traci, no bo zawsze jest tak, prawda?

Mam wrażenie, że dla mnie naturalne było to, żeby z jednej strony cały czas być częściowo w Polsce, a z drugiej być też bardzo mocno w Szwecji. Naprawdę starałam się dużo czasu poświęcać temu, by mój szwedzki stawał się jak najlepszy. Skończyłam w Szwecji dwa kierunki studiów i bardzo wcześnie zaczęłam przekładać szwedzką literaturę. Tłumaczenie jest naprawdę bardzo głębokim nurkowaniem w ten drugi język, chociaż jednocześnie trzeba pisać dobrze w tym, na który się przekłada. Język też jest w jakiś sposób domem. Nie chciałabym jednak, żeby to zabrzmiało jak próba oddzielenia się od tego nowego świata, w którym się znajduję. Po prostu mam wrażenie, że stworzyłam w sobie dwie różne przestrzenie ję-

zykowe i – tak jak powiedziałam – jestem trochę inna kiedy mówię po szwedzku, jestem inaczej odbierana. Wiemy o tym, bo moi szwedzcy przyjaciele zawsze bardzo silnie reagują, gdy słyszą mnie mówiącą po polsku. Po polsku mówię szybciej. Polski jest bardziej dynamiczny, ma w sobie bardzo dużo spółgłosek, które dla nieprzyzwyczajonego ucha brzmią trochę agresywnie albo przynajmniej jakoś tak niezwykle dziarsko. Po szwedzku wydaję się łagodniejsza i spokojniejsza, więc prawdopodobnie bardziej dopasowana też do tego szwedzkiego świata. I to jest bardzo ciekawe doświadczenie, właśnie zrozumienie, że my rzeczywiście przez język możemy siebie jakoś tam zmieniać. To się nie dzieje na poziomie świadomym, to po prostu się dzieje.



Ilona Wiśniewska

Moja więź z Polską jest cały czas ścisła, dlatego że jeszcze przed pandemią bardzo często przemieszczałam się między Norwegią i Polską – to było dla mnie bardzo ważne, bo ja nigdy nie chciałam wyjeżdżać z Polski na dłużej. Nigdy nie był to mój plan. Tak się po prostu stało. Ale bardzo ważne było to, żeby zawsze mieć kontakt z Polską. Codziennie rano rozmawiam z moją siostrą przez telefon. Codziennie. To jest to jest taki rytuał poranny, który musi się dopełnić. Kontakt z językiem był zawsze kluczowy, po to, abym się dobrze czuła. Na Spitsbergenie mieszkało parę osób z Polski, ale czasami nikogo nie było, a dla nas było bardzo ważne, żeby się spotykać i żeby rozmawiać w naszym języku. Więc pisze się po polsku – taka jest możliwość używania tego pięknego języka.

Tak jak powiedziała Kasia, mam podobne doświadczenie z norweskim. Ja też jestem inna po norwesku. Mieszkam w północnej Norwegii. To jest inny norweski niż ten na południu. Inni są też ludzie. Kasia łagodnieje po szwedzku, a ja robię się bardziej surowa. Przez to, że bardzo dużo się przeklina, ten język jest bardzo otwarty, bardzo dynamiczny i ja też zauważam w so-

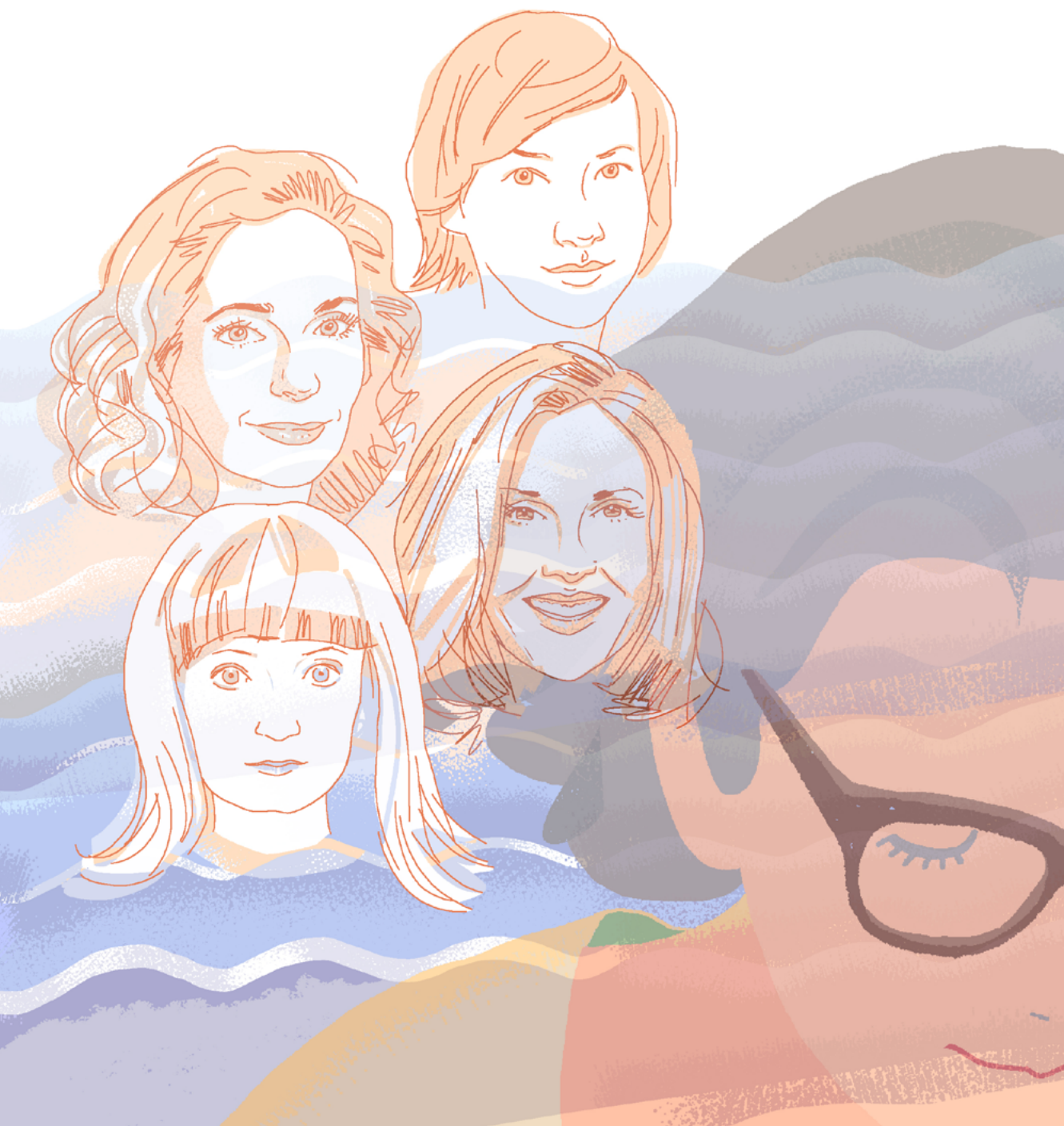
bie, że mam właśnie takie cechy, o które wcześniej siebie nie podejrzewam. One się uruchamiają właśnie po norwesku. To jest też bardzo fajne, bo odkrywam w sobie taką duszę rybaka, bardzo surowego dla siebie i nie przebierającego w słowach, więc to jest świetne. Ale – tak jak już tutaj powiedziano wcześniej – my się w tych dwóch językach staramy spotkać, wciąż jest to jedna osoba, która żyje w dwóch światach. Piszę po norwesku, ale tylko artykuły do gazet, ponieważ nie mam stylu. Jestem często pytana, dlaczego moje książki nie są przetłumaczone na norweski: Skoro piszesz o Norwegii, czemu one nie są po norwesku? A to jest już system tłumaczeń, zupełnie inny niż w Polsce. Nie byłabym w stanie sama przełożyć tych książek, bo nie czuję tego języka. Kasia jest po studiach, które umożliwiły jej tłumaczenia. Ja tego języka nauczyłam się po prostu, w życiu, dlatego, że mój mąż jest Norwegiem i jestem otoczona Norwegami, ale nie mam tej płynności, ładnego języka, którym chciałabym operować na piśmie.

Katarzyna Tubylewicz



Dodam, że też piszę artykuły po szwedzku i jestem w stanie to zrobić, aczkolwiek jest to dla mnie dłuższy proces niż pisanie po polsku. Czasami nawet mam poczucie, że dzięki temu jestem w stanie opowiedzieć pewne rzeczy ciekawiej. Wiem, dzięki temu żyję, piszę po szwedzku, że stosuję – o czym wspominała Ilona – jakieś takie uproszczenie, które prowadzi do tego, że coś jest wyraźniejsze. Mam jednak poczucie, że pomimo tego, że tyle lat mieszkam w Szwecji i tym językiem się posługuję, że studiowałam, uczyłam się języka na poziomie uniwersyteckim, to nie mam takiej intuicji językowej po szwedzku jak po polsku. Nie mam poczucia, że mam swój styl. Uważam za to, że zmiana języka w pisaniu to byłby dla mnie zabieg bardzo brutalny. Myślę, że to by w jakiś sposób spowodowało, że zaczęłabym naprawdę czuć się emigrantką, którą się nie czuję. Jestem nią, ale jednocześnie żyję pomiędzy krajami. Lubię siebie definiować tylko jako osobę przemieszczającą się. Są oczywiście przykłady w literaturze ludzi, którzy język zmienili, co dało bardzo ciekawe efekty. Na przykład Milan Kundera. Chociaż przyznam, że wolę jego czeskie książki, a nie francuskie, choć te znam oczywiście tylko w polskim przekładzie.

O kobietach i odwadze





Marta Frej

Kobiety obecnie muszą za wszelką cenę pracować nad tym, żeby stać się zespołem, grupą, żeby stać się silną grupą i się wspierać. Dopiero wtedy, jak będziemy naprawdę razem i nie będziemy nawzajem między sobą toczyć walk i się kłócić, wtedy coś wspólnie ugramy. Wszystko to, co dotyczy kobiet, dotyczy również mężczyzn. Nie jest przecież tak, że żyjemy w dwóch osobnych plemionach. Więc walczę o jakiś inny świat, w którym być może nie przyjdzie mi żyć, bo nie zdążę, ale trudno, pogodziłam się z tym.



Katarzyna Tubylewicz

Gdy jest się kobietą tworzącą, trzeba przede wszystkim nauczyć się szacunku do swojej własnej twórczości i niezwracania uwagi na to, co mówią niektórzy krytycy. Myślę, że kobietom jest cały czas trudniej znaleźć w sobie taką siłę. Myślę też, że jednak coraz więcej kobiet tę siłę znajduje. Świat kultury może nie jest w pełni równouprawniony, ale myślę, że jest bardziej równouprawniony niż np. świat dyplomacji.



Marta Frej

Czy memy mnie zaszufładowały? Zawsze jest coś za coś. Na pewno nie zaszufładowały, ale z drugiej strony – gdyby nie one, nie doszłabym do tego, czym zajmuję się teraz. Nie miałabym tysiąca różnych okazji: poznawania ludzi, bywania, różnych projektów, różnych sposobów podejmowania współpracy. To było tak, że kiedy już pogrzebałam stereotypy wsadzone do głowy, jak to wielki artysta powinien się zachowywać, całkowicie się uwolniłam. Ponieważ uznałam, że jestem na samym dnie, ponieważ odniosłam całkowitą porażkę zawodowo i wiedziałam, że przez tydzień nic gorszego nie może mi się przydarzyć, poczułam się absolutnie wolna, bo porażka mnie wybawiła. Tak, moja porażka, ja uważałam, że to była porażka. Teraz patrzę na to inaczej, ale wtedy tak myślałam, tymczasem ta klęska dała mi absolutną wolność. Zaczęłam robić rzeczy zupełnie nieprzemyślane zupełnie kompulsywnie, wywlekając na wierzch swoje najskrytsze myśli, problemy. Zaczęłam robić to, co robię. I otworzył się nowy, zupełnie nowy rozdział w moim życiu. Wszystko, do czego teraz doszłam: przeprowadziłam się do miejsca, w którym zawsze chciałam mieszkać,

czyli nad morze, mam tutaj galerię, mam sklep, mam pracownię – to wszystko jest wynikiem właśnie tego, że kiedyś zaczęłam robić coś, co wydawało się nie być żadną drogą. Za to było takie absolutnie ze środka, z takiego poczucia, że już nic nie sknocę, bo już nie mam czego sknocić. Po prostu taka jestem i już. Nie wiem, czy to wynika z mojego sposobu bycia, ale od tamtej pory nikt, poza moim partnerem, nigdy mi nie zadał pytania, czy jestem pewna i po co to robię. Nikt się nie odważy.

Ilona Wiśniewska



Na szczęście jestem córką bardzo odważnej kobiety, która – odkąd pamiętam – zawsze mówiła, żeby się niczego nie bać, a jeżeli czegoś nie wiesz, to pytaj innych ludzi. To jest podstawa, z której wyrosłam. Wychowywałam się w tym 19 lat. Już w moim domu nigdy nie było czegoś takiego, żeby ktoś był lepszy od innego. Moi rodzice są farmaceutami, prowadzili wspólnie aptekę. Byli na tym samym poziomie. Wydaje mi się, że wyjazd na Północ był właśnie świetnym pomysłem dzięki temu, że mieszkam w kraju, gdzie takich pytań się po prostu nie zadaje. Tutaj kobiety i mężczyźni mają takie same możliwości rozwoju. Na Spitsbergenie wszystkich wyrównywało zimno. Wszystko jedno czy było się mężczyzną, czy kobietą, trzeba było się ubierać dokładnie w te same ubrania. To dawało nam możliwość robienia wszystkiego, co chcieliśmy. Tam było mało osób i każdy mógł mieć jakiś zawód czy zajęcie, którego w tak zwanym normalnym świecie nigdy by nie wykonywał. Kobiety często wykonywały te typowo, powiedzmy, męskie zajęcia i odwrotnie. Nie było rozróżnienia. Każdy miał takie same szanse. Co prawda, świat polarny to są mężczyźni. Głównie są to bohaterские opowieści o tym, jak to się coś zdobywało, umniejszając jednocześnie rolę innych pomocników czy rdzennej ludności. To są klasyczne historie o polarnictwie. Pamiętam, że jak napisałam pierwszą książkę, to całe polarne polskie środowisko (z którym jestem teraz bardzo zaprzyjaźniona,

ale wtedy mnie nie znało) było bardzo sceptycznie nastawione do tego, że jakaś dziewczyna napisała książkę o Spitsbergenie. No przecież to my jeździmy na Spitsbergen od 50 lat, to my tam dokonujemy wielkich rzeczy, a tu przyjechała jakaś dziewczyna, która sobie tylko mieszka na tej wyspie. A właśnie to, że tam mieszkam i mówię w tym języku, było moją przewagą, więc nie można było ze mną o tym dyskutować. Dlatego polarnicy, którzy byli tam na sezon albo mieszkali w polskiej stacji polarnej, która nie jest częścią miasta, przyjęli życzliwie tę książkę. Pamiętam, jakie to było urocze, kiedy książka wyszła i spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem czytelników. Później, stopniowo, poznawałam tych polarników. Z roku na rok coraz częściej przychodzili z moją książką i prosili, żeby im podpisać, bo jednak stwierdzili, że jest świetna i że jednak ta dziewczyna mogła napisać utwór, który nie mówi o bohaterach polarnych. Jest raczej o takich „polar loser”, ludziach znikąd, którzy mieszkają na Spitsbergenie, bo niczego innego, lepszego dla siebie nie wymyślili. To było przełamanie monopolu mężczyzn na opowiadanie o Arktyce. Bo nikt nigdy (wracając do początku mojej wypowiedzi) nie umniejszał mojego człowieczeństwa przez moją płeć. To się zdarzyło tylko raz. I to był Polak. Był to epizod, z którego się śmieję. Poza tym rzeczywiście, ten świat polarny mnie przyjął. Nie chciałam nikomu niczego udowadniać. Chciałam po prostu pisać o ludziach, których się tu spotyka.



Marta Frej

Jeżeli mówimy o kobietach i o byciu kobietą, to ja na przykład bardzo się bawię tym, że można być jednocześnie osobą serio uczestniczącą w debacie, można być poważną dziennikarką, można pisać poważne książki, można być mamą dorosłego syna, a jednocześnie – skakać z pomostu, zakładać nogę na szyję, robić różne głupie filmiki, które się wrzuca na Instagram i to wszystko jestem „ja”. Mamy prawo do tych wszystkich zachowań.



Nadbałtyckie
Centrum Kultury
Gdańsk



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego